

ROMANS I POWIEŚĆ

Rok XII.

Warszawa, dnia 7 sierpnia 1920 roku.

Nr 32.

ALFRED KONAR.

POWIEŚĆ.

4)

PIĄTE KOŁO.

Na zasadzie tych jej oskarżeń dom ich naszedł raz urzędnik cyrkułu, którego pan Witold obił. I jedynie wielkim zabiegiem, a jeszcze większym łapówkom zawdzięczał zatuszowanie tej „politycznej” sprawy.

Lecz najdotkliwsze są bóle, które pochodzą od ukochanych. Bo faktycznie dość zimna erotycznie piękna pani Roma żyła wiecznie jedynem uczuciem: jakąś bezbrzeżną tytaniczną miłością dla Jureczka, marzeniami o jego świetnej przyszłości, o karierze, o szczęściu, o życiu na różach, których przysporzenia mu — było celem jej istnienia. W czułem sam na sam pan Witold, chcąc jej się przypodobać — rozmawiał z nią najczęściej o przyszłości Jurka, którego istotnie z miłości dla matki obrzucał najdroższymi upominkami i otaczał faktycznie ojcowską opieką niezależnie od nieznośnego traktowania młodego chłopca.

Oplacał na jego korzyść roczną polisę asekuracyjną, mającą mu być wypłaconą w dniu śmierci matki. I obiecywał zająć się w Peterburgu odstąpieniem mu na starość swojej posady lukratywnej.

W tym celu średnio uczącego się Jureczka przeniesiono z gimnazjum filologicznego do tak zwanej Szkoły Realnej, uczęszczanej przeważnie przez paniczyków. Pani Roma uważała, że w mundurze zielonym ze złotymi guzikami jest Jureczkowi jeszcze bardziej do twarzy, niż w dawnych granatach ze srebrem.

Pomimo, iż w tych złotych galonach Pawełek jeszcze brzydziej wyglądał, niż dawniej i, pomimo — rzecz główna — że obiecał zmarłej matce studjować medycynę — poświęcił filologję dzięki prośbom pani Romy, pojmującej, że strata Pawelka byłaby dla jej syna niepo-

wetowaną nie tylko w szkołach, lecz w całym przyszlę jego życia. Zdawała sobie sprawy, że niezależnie od bojkotu wybredniejszych kolegów, Jureczek, choć ogólnie lubiany nie mógł by się już obyć bez tego przywiązanego, jak pies niewolnika, koźła ofiarnego, dożywoźnego giermka i adjutanta, który aż do grobu będzie na usługach swego królewicza.

Nie dziwiła się też synowi, że przekłada galerję w teatrze Rozmaitości w towarzystwie kolegi, niż łożę z nią i z panem Witoldem. I, choć wbrew radom nowych przyjaciółek, twierdzących, że zbyt afiszuje się na wszystkich spacerach z 17-letnim synem, (który jej lata kempromituje) — bawiła się jedynie w towarzystwie Jureczka. Bo nie lubowała się w swojej urodzie i nic nie robiła sobie z niej; a z musu jedynie godziła się na fakt, że syn jej coraz częściej wymyka się w towarzystwie Pawelka.

Ufała temu towarzystwu bezgranicznie. Nie przyszła jej nigdy refleksja, że wierny giermek i niewolnik sprzedałby djabłu duszę na rozkaz swego rycerza, królewicza, pazika.

O! Ta galerja w teatrze Rozmaitości w towarzystwie koleżki przyjaciela! Pawełkowi do dzisiejszego dnia brzmią w uszach głosy niezapomnianego Żółkowskiego, Królikowskiego, Modrzejewskiej i Popielki, podziwianej z zapartym oddechem w tamtoczesnych arcydziełach w „Walce kobiet” i w „Adryannie Leconvreur” Scribe’a, w „Safandulach” Sardou i w „Iskierce” Paillerona.

Jureczek miał z owych czasów inne wspomnienia: Na ciasnej nie-numerowanej galerji ręce jego raz wraz się zbliżały do ciepłych pulchnych jedwabistych rączek, mniej lub bardziej uświadomionych sąsia-

dek ładnego sztubaczka. Ręce te prądem elektrycznym coraz bardziej się zbliżały, coraz mocniej w niej rozmowie się muskały — aż wreszcie spoczęły we wzajemnych płomiennych uściskach.

Lecz bardziej uświadomionym sąsiadkom nie wystarczały te nieme konkury. Poczęły zachęcać go do rozmowy. Okazało się, że sztubaczek jest bardzo miły. Jureczek zaczął częstować pomarańczami, pomagać w kontramarkarni; odprowadzał do domu swoje nowe znajome. Pawełek, bardzo milczący i bardzo niezadowolony musiał mu towarzyszyć i zabawiać brzydkie kuzynki — duenny bohaterki Jureczka.

Pani Roma macierzyńskim sercem odgadła nowy etap w życiu syna. To już nie był dawny Jureczek. Oczy mu teraz błyszczały, ruchy, głos, mowa zmężniały. A zaciśnięte zagadkowo usta zdawały się rzucać nieme wyznanie:

— Tak. Stało się. Są rzeczy o których się nie mówi. Jestem taki, jak wszyscy inni. Trudno.

I pani Roma zadrżała. Chciała, aby był zdrowym i szczęśliwym. Pragnęła tulić do łona jego dzieci. Marzyła o pięknej, szlachetnej i czystej synowej, do której wyciągnął by ramiona wprost z pod jej matczynych skrzydeł. Dyplomatycznie wspomniała mu kiedyś o marzeniu wczesnego ożenku syna. Czas szybko bieży i Jureczek ani obróci się, jak chwila upragniona nadejście. Lecz zagadkowo szydercze usta jedy-naczka odpowiedziały jej cynicznym niemym uśmiechem:

— Czekaj tatka latka.

Lecz sąsiadki z galerji Rozmaitości przeważnie magazynierki, kwiatciarki, bieliżniarki poczęły go razić swoją wulgarną mową pokojówek ze złe utrzymanymi rękami i odległymi od śródmieścia brudnymi mieszkaniem na poddaszach.

W alei literackiej (zwanej tak z powodu... zupełnego braku w niej literatów) Ogrodu Saskiego poznał Jureczek prześliczną pannę Aurelkę Tendek, koryfejkę baletu. Była przy-

jaciółką jakiegoś zamieszkałego stale na wsi hreczkosieja. Zajmowała piękny apartament, nosiła suknie od Włodkowskiej, rączki utrzymywała jak księżniczka i pachniała wszystkimi kwiatami podzwrotnikowych ogrodów.

Jureczek wprowadził do niej Pawełka, aby pochwalić się pierwszą rolą, jaką w życiu tej damy zajmuje, jako pan domu, służby i całego mieszkania.

I panna Aurelka posiadała także jakąś brzydką kuzynkę, która o, dziwo! — zagustowała w grzecznym i cichym Pawełku. Lecz te ukartowane konkury szły ku utraپieniu obu kobiet i Jureczka, jak z kamienia. Aż wreszcie Jureczek zagroził „mazgajowi babskiemu i safandule“, że nie tylko zerwie z nim wszelkie przyjazne stosunki, lecz pod słowem — nie przystąpi do ostatecznych egzaminów, jeżeli Pawełek nie zaniecha nadal kompromitującej i śmiesznej roli Józefa wobec Putyfary. Pawełek uległ opinii otoczenia. Chodziło przecież o egzaminy Jureczka!

Teraz spędzali często wieczory we czworo, wśród rozkosznych śmiechów i figlów Jurka i Aurelki i wśród zadum „mruka“ i dęsań brzydkiej kuzynki.

Lecz młodzińczy organizm Jureczka nie zdołał jeszcze zahartować się do wszystkich orgji doświadczonych rutynistów. I, oziębiony przesadną ilością gabinetowego kruszonu i piwa wprost z lodu oraz tropikalnym żarem koniaków i całusów Aurelki — legł po jakiejś nocnej birbantce, jak kłoda w swoim białym dziecięcym jeszcze łóżeczku.

Przywołani przez wystraszoną matkę lekarze skonstatowali ówczesnym zwyczajem nie — wyszła już wtedy z mody febrę, lecz modną ongi malarję, która ustąpiła potem miejsca influenzy, anginie i późniejszym nieznanym wtedy infeksjom, hiszpankom i t. d.

Jureczek przeszedł już niebezpieczny kryzys, zwany obecnie rekonwalescencją, która ciągnęła się przy tak zwanej ongi malarji czy też febrze również przewlekłe, jak dziś przy obecnej influenzy, anginie i infekcji u pacjentów bogatych.

I, jak dziś quasi cudotwórczemi środkami; masażem, elektrycznemi kąpielami, salicylem i t. d. zameczano ongi znudzonego Jureczka pijawkami, kumysem, tranem, serwatką, żelazem i kefirem. Dość, że dzięki tej lekarskiej energii, czy też pomimo — stan zdrowia pacjenta

począł poprawiać się z dnia na dzień.

I kiedy w dwa tygodnie po chorobie wpadło matce do głowy — odwiedzić nad ranem rekonwalescenta, okazało się ku jej osłupieniu, że Jureczek wśród nocy odjechał gdzieś pochwalić się swoim odzyskanem zdrowiem.

Pani Roma dostała ataku spazmów, na które dawniejsze kobiety chorowały znacznie częściej niż obecnie. Liczono godziny do nadejścia Pawełka. Lecz jak wiadomo już upierającego się w dyskrecji przy tych indagacjach, wzmiankowanych już na początku tego opowiadania — zastąpiły informacje udzielone przez pannę Petronelę.

* * *

Dopiero dzięki owemu dostarczonemu przez pannę Petronelę adresowi panny Aurelki — ukartowano ów nieszczęsny pomysł wyprawy po zbiega.

I Jurek, zwierając się nazajutrz z tej awantury Pawełkowi, trząsł się cały z oburzenia, przeczuwając w tej intrydze głównie złą wolę swego przeciwnika:

— Ach! Ten łotr, ten idjota! Jak on mógł dopuścić mamę do takiej kompromitacji! Przecież jest mężczyzną i powinien rozumieć. Osiół dardanelski!

— Wykombinować taki skandal! — syczał aż z gniewu Jurek. — Wyobraź sobie minę Aurelki, która sama drzwi im otworzyła, bo ja byłem jeszcze nieubrany. Całej tej sceny nawet opowiedzieć nie można. Biedna dziewczyna przez całą godzinę potem szlochała! Co za wstyd! Taka wstrętna farsa! Mammy nie winię wcale. Jest kobietą. Ale on... — Pawełek chciał ścisnąć rękę przyjaciela. Lecz Jurek wyrwał mu z jego dłoni. Był zbyt wzburzony.

Pawełek najzupełniej solidaryzował, że ta operetkowa wyprawa po zwrot marnotrawnego syna nie miała żadnego sensu. I widział w myśli tę całą scenę w środowisku Aurelki z tą piękną damą z towarzysztwa, upominającą się z teatralnym gięstem o syna! I słyszy zwykle zdania Aurelki rzucane bez podmiotu i bez orzeczenia:

— Także mi! Jak Bożię kocham. No, wiecie państwo! Słyszane to rzeczy!

— Nienawidzę tego cymbała — zwierzał się Jurek swemu przyjacielowi z wargą trzęsącą się od jadu, jaki Pawełek dojrzał po raz pierwszy w tym może nieco oziębłym, lecz wiecznie zrównoważonym chłopcu, który pogodę i wdzięk ży-

ciowy odziedziczył po łagodnej od natury matce.

I w głowie Pawełka zaświstała po raz pierwszy myśl:

— Ta wieczna animozja Jurka, ku panu Witoldowi! Czyżby Jurek domyślał się czegoś? Nie, nie, to byłoby okropne!

Pawełek pod sugiestją Jurka nie lubił także pana Witolda. Niezależnie od jego fałszywej pozycji w domu pani Romy, z której Pawełek zdawał sobie może sprawę dokładniej, niż Jurek — nie znosił też ze swoją delikatnością duszy — fałszywej dystynkcji i wątpliwych dowcipów tego dorobkiewicza. I nie mógł mu darować ironicznego konceptu: Przecież pan Pawełek kocha się chyba w pani Romie?

Głupie gadanie! Rzecz prosta, że Pawełek kochał tę piękną i estetyczną w każdym calu damę, już choćby dla tego, że była matką Jurka.

Pani Roma leżała już od kilku dni w łóżku. I Jurek, mylnie przekonany, że tę chorobę spowodowało jedynie zaziębienie wśród pamiętnej rannej eskapady lub wzruszenie i nerwy wobec złej kondyty syna — bojkotował tę lekką w jego pojęciu niedyspozycję matki.

I siedząc jak mysz pod miotłą w sąsiednim pokoju, wykuwał z Pawełkiem ostatnie egzaminy; i trochę winny, trochę obrażony — nie pokazywał się na oczy nikomu.

Lecz choroba pani Romy od kilku dni wciąż się wzmagala. Pomimo urywanych rozmów i szeptów — nie ukrywano jednak przed synem grozy najpoważniejszych obaw. Pan Witold jak zawsze nietaktowny — rozpaczal już zbyt głośno, płakał, rzadkie włosy targał. Aż do uszu Jurka doszedł wreszcie już nazbyt niedyskretny tragiczny jęk z jakim wybuchnął:

— Bez mojej wiedzy, bez porady... Ja tę wiedzę akuszerkę do kryminału wsadzę. Gdybym tylko znał jej adres i nazwisko — ja bym jej...

Jurek pobiegł do łóża matki. U kolan jej klęczał pan Witold i szlochał, jak małe dziecko:

— To ja jestem twoim katem. Lecz czyż mogłem pomyśleć? Cemuś to uczyniła? — modlił się, całując skraj jej ukoronowanych batystów —

— Poświęciłaś swoje własne życie i moje.

Rzucając zamierającymi oczami w stronę ukochanego syna, pani Roma wykrztusiła z największym wysiłkiem bladymi wargami:

Dalszy ciąg nastąpi.



Tajemnica Rodu Köenigsmarków.

11)

Przekład z francuskiego przez H. J. P.

— O! ja nie mam czasu. Muszę pilnować, żeby wszystka młodzież tańczyła. Podaj mi pan rękę. Zaprowadzę pana.

Bliskość tej ładnej kobiety przywraca mi pewność siebie.

— Panno de Graffenfried! Panie Vignerte!

Głos Marçais'a.

Olśniewający elegancją siedzi obok Wielkiej Księżny. O! Nieba! Daje mi znak, abym się zbliżył.

— Czyż pan zawsze, będziesz nieuchwytnym— mówi śmiejąc się. Pójdźże pan!

Przedstawia mnie Wielkiej Księżnie.

— Wszak to potrosze dla Waszej Wysokości, sprowadziłem pana Vignerte. Ale widzę, że Waszej Wysokości nie spieszo korzystać z podarunków jakie się Jej składa.

Wielka Księżna odpowiada niechętnie:

— Ja! Ależ przeciwnie. Bardzo pragnę poznać pana Vignerte. Jest podobno bardzo miły. Wybacz pan, że mówię: podobno; nie mogłam jeszcze przekonać się o tem sama. Pan jest, jak słyszałam, zapracowany.

Te same słowa, które słyszałem już z ust Meluzyny. O! nędzo! czyż zawsze będą cię wlec za sobą szato bakałarza. Czy zawsze będę zapracowanym ja, który noce trawię na rozkosznych marzeniach.

Chcę odpowiedzieć! Czuję, że powiem jej, tej pogardliwej pani coś stanowczego. Lecz ona wstaje.

— Przepraszam pana. Muszę chociaż raz przetańczyć walca.

— Panie de Hagen!—woła.

Czerwony huzar wyrasta jak z pod ziemi. Zbliża się pokorny i zachwycen. O! wiem, że przyjdzie dzień, kiedy go spoliczkuję.

Na sali robi się pusto. Walc Wielkiej Księżnej Aurory jest jak Maëlstrom. Każdy boi się, żeby go nie zagarnął. Tancerze ustępują z pola. A oni tańczą. Naprzód jest to powolny, niemiecki walc, na trzy pas. Stopniowo takt się ożywia, z dwóch pas przechodzi na jedno. To już nawet nie boston, to jakieś wirowanie bezpamiętne i harmonijne. Szmer zachwytu przebiega salę. Wielki Książę Fryderyk August spogląda na wirującą parę z uśmiechem prawie dumny.

To nie Hagen prowadzi ten jedyny w swoim rodzaju taniec pomi-

mo całej swej zwinności. To ta wysoka białe zielona postać! Wciąż jakby znużona kręci się jednak, kręci, kręci, kręci...

Hagen daje powodować sobą. Niewysłowiona radość zabarwia jego twarz młodziutkiego blondyna. Czerwona i zielona barwa ukazują się na przemiany i mieszają ze sobą. A oni wirują, wirują, wirują...

We Francji spotkała by ich burza oklasków.

Wielka Księżna wraca na swoje miejsce wciąż blada jak lilja i znużona. W poruszeniu, jakie czyni poprawiając prawe ramię sukni, bukiet liljowych irysów, który wciąż trzymała w ręku, pada na ziemię. Rzucam się by go podnieść.

— Dziękuję, panu—mówiła niechętnie.

Poczem już świadomie tym razem upuszcza kwiaty.

— Ach! Boże! Zwiędły już zupełnie.

Wróciłem do siebie. Otworzyłem okno, i patrząc w gwiazdy iskrzące się na chłodnym niebie, rozplakałem się.

Tak rozplakałem się.

Pojałem wszystko. Ta kobieta jest mi nieprzezwyciężenie wrogą. Dla czego? Co zrobiłem? Nie wiem!

I wraca mi na usta zwrotka biedaków! Pracujmy!

Muzyka gra jeszcze w oddali. Przez Köenigspłatz przelatują lemonsiny, rzucając jaskrawe smugi światła. Ci, którzy w nich siedzą są szczęśliwi. Widzieli ją jeszcze później niż ja ją widziałem.

Pracujmy!...

ROZDZIAŁ IV.

Raulo Vignerte, co się z tobą dzieje? Jaki obłęd ima się ciebie? Jaki! przed kilku tygodniami załedwie troszczyłeś się rano o pożywienie wieczorne. Nie wyobrażałeś sobie większego szczęścia, niż mieć je zapewnione na dzień następny. Teraz masz je zapewnione nie tylko jutro, ale za miesiąc, za rok, może na zawsze. Oddaj się tylko pracy. Praca, to jedyna moc, której się nie żałuje nigdy. A jednak nie jesteś szczęśliwy! Co mówię; cierpisz! Bardziej, niż kiedy przyjechałeś do Paryża i na dworcu D'Orsay, szukałeś w kieszeniach drobnych dla tragarza, bojąc się rozmienić pię-

ciofrankówki, by się za prędko nie rozeszła! Cierpisz! I przez co? Przez twą przeklętą wyobraźnię. Czyż nie czujesz, że odtąd los mógłby ci ofiarować wszystkie kobiety Paryża, wszystkie skarby Iranu, a nie zaspokoiliby jeszcze tego marzenia, złożonego z mgieł, które w sobie nosisz? Ona!... Ta kobieta! Wielka Księżna!... Biedny idyoto. Miałeś się za klasyka. Drwiłeś z teatru romantycznego, a teraz, gdy chodzi o ciebie, gotów jesteś uważać za zupełnie naturalną przygodę Ruy Blasa lokaja Jaśnie Oświeconego markiza de Finlas? Tyżes to ubóstwiać Le Playe'a i Augusta Comte'a? Zaiste. Smieszysz mnie! Królowa twoich marzeń mniej jest dla ciebie niż dla tego czerwonego huzara, który jest próżniakiem ale ma stopień i herb.

I zabrałem się do pracy i zwolna, przyznać muszę, biblioteczny kurz przysypał moją zazdrość, moją nawiść i mój żal.

Noga moja nie postanie nigdy w lewym skrzydle pałacu. Z przyjemnością myślę, że ona się tam nudzi ze swoją Meluzyną. Nie jestem stworzony do tutejszego życia.

Z pobytu Lautenbourga wyciągnę wszystko, co mi wyciągnąć potrzeba. Za dwa lata będę miał pięć do sześciu tysięcy franków oszczędności, materiały do kilku książek, wrócę do Paryża i... zdobędę go. A Paryż wart więcej niż ta barbarzyńska wzgardzicielka.

Pan Thierry nakreślił mi wyborczy plan pracy. Oceniałem to coraz lepiej w miarę wertowania biblioteki. Historia dynastów niemieckich współczesnych Ludwikowi XIV, parafrazuje świetnie panowanie tego monarchy, uwydatniając jego swoiste piękno.

Wzorować się na królu Francji, oto było jedyne zajęcie tych książąt niemieckich z końca XVII-go wieku. W tym celu sprowadzali sobie artystów lub uczniów artystów, którzy pracowali dla niego.

Ale podczas gdy każdy francuski magnat miał sobie za punkt honoru posiadać jakiegoś artystę na swoją wyłączną własność, ci Niemcy stwarzali się, aby oszczędniej korzystać z talentu takiego to malarza, rzeźbiarza lub ogrodnika. Podobni byli w tem do tych ubogich paryskich gospodarstw, które kupują do spółki w hallach worek jarzyn lub jagnię.

Znalazłem w archiwach większość kosztorysów malarzy i architektów francuskich, którzy pracowali nie tylko dla Książąt Lautenbourga i Detmolda, ale zarówno dla władców Lünebourg—Celle i dla elektorów

Hanoweru. Ernout wyrzeźbił większą część marmurowych grup w ogrodach. Gourdal uczeń La Guinime'go, rysował je. Lessique uczeń Lebrun'a malował ściany. Katalończyk Girord prowadził roboty słusarskie i żelazne. Zeyer, malarz, nauczyciel księżny Zofii-Doroty, przyozdobił ślicznego ornamentacjami podwoje *Herrenhausen'a* w Hanowerze i pałacu w Lautenbourgu.

Intendenci Książęcy targowali się z temi wszystkimi artystami ząb za ząb. Często sami Książęta własnoręcznie podpisami popierali żądania zmniejszenia rachunków. Przejrzałem z ciekawością ogromny memoriał Girou'a, jaki artysta ten przedłożył sądowi prezydjalnemu w Hanowerze w 1690 roku, aby usprawiedliwić sumę należności żądanej przez niego za pewną ilość sekretnych zamków w *Herrenhaus'ie*. Książę Ernest-August, przyszedł elektor domagał się zmniejszenia rachunku, lecz żądanie to pozostawiono bez skutku. W epoce tej, jak się pokazuje byli jeszcze bezstronni sędziowie w Hanowerze.

Zasadniczo postanowiłem, ograniczyć moje poszukiwania na wpływie francuskim odnośnie do dworów niemieckich XVII wieku. Miałem przed sobą całą kopalnię dokumentów mogących w zupełności zadowolnić Pana Thiery, a mnie dostarczyć materiały do napisania książki. Ale ów Zeyer malarz laka, nauczyciel Księżny Zofii-Doroty sprawił, że rozszerzyłem ten pierwotny plan. Znalazłem mianowicie wśród jego rachunków, bruljony jego zeznań przed komisją śledczą, która sądziła nieszczęsną monarchinię Hanoweru. Na nim też ciąży odpowiedzialność za wypadki, które nastąpią.

Vignerte umilkł, pomyślał chwilę i zadał mi to nie oczekiwane pytanie:

— Czy znasz dramatyczną historję hrabiego Filipa-Krystofa de Koenigsmarck?

Zamiast odpowiedzi wyrecytowałem mu dwie następujące strofy:

*Hrabia de Koenigsmark,
rozkochał królową,
A później, jak świat mówi,
został jej kochankiem,
W tej królewskiej komnacie,
gdzie pachną werweny,
W porze, gdzie dzień się rodzi,
lub gdzie dzień umiera.
Któż wypowie te wszystkie
szalone marzenia,
Jakie snuła przed tobą,
ta, która swawolnie
Mieszała hyacyny wraz z swemi
myślami,
Płaszczem złocistych włosów
po stopy okryta?*

— Autor tych wierszy — rzekł Vignerte, — czytał książkę Blase de Buryg. To jedyna znośna książka francuska o tym dramacie. Przypominasz go sobie?

— Wyznaję, — rzekłem — że wiele szczegółów wymknęło mi się z pamięci.

— Muszę ci zatem opowiedzieć tę historję. Nie wytłumaczy ci ona mojej przygody. Owszem; uczyni ją tem dziwniejszą.

— Przypominasz sobie zapewne — opowiadał dalej Vignerte — jakie było położenie Hanowerskiego Państwa w 1680 roku. Na jego czele stał człowiek o tyle rozwiązy, o ile głęboki polityk, Ernest-August, kolejno biskup Osnabrücku, książę i wreszcie elektor Hanoweru. Brat jego Jerzy Wilhelm był księciem Brunswich-Lünebourg'a. Ernest August miał syna Jerzego; Jerzy-Wilhelm, córkę Zofję-Dorotę.

Ernest-August żywił dwa ambitne pragnienia.

Pierwszem było przyłączenie do swego Księstwa, państewek brata. Na to był jeden tylko sposób; ożenić Jerzego z Zofią-Dorotą. Małżeństwo to doszło do skutku w 1682 roku. Księżniczka miała podówczas zaledwie szesnaście lat. Druga ambicja Ernesta-Augusta sięgała wyżej: Była nią Korona Angielska. Fortuna poparła jego plany. Dwanaścioro dzieci królowej Anny zmarło jedno po drugim. Ernest-August nie doczekał tryumfu swojej polityki, umarł w 1698 r., ale syn jego Jerzy zebrał jej owoce. W 1714-stym, po śmierci Królowej Anny, wstąpił na tron Wielkiej Brytanji pod nazwą Jerzego I-go, wstąpił sam; gdyż ośmnaście lat wstecz, na skutek niecnej intrygi rozwiódł się z żoną i gdy jej małżonek wkładał angielską koronę nieszczęsna Zofia-Dorota dogorywała na Zamku Ahlde; który był bardziej więzieniem niż pałacem.

— Wybacz, że tak sucho podaje ci te fakty; rzecz główna, aby były jasne. Historia rozwodu Zofii-Doroty to historia zamordowania hrabiego Filipa-Krystofa de Koenigsmark. Potomek jednej z najarystokratyczniejszych rodzin szwedzkich, przyjaciel Księcia elektora Saskiego równie krucznych włosów i piękny, jak Zofia-Dorota była piękną blondynką, Hrabia Filip i Księżniczka Brunswick-Lünebourg znali się od dziecka i po dziecięcemu zaręczyli. Życie rozdzieliło ich. Filip odjechał by pędzić na dworze Jakuba II-go i Ludwika XIV-go, w Wenecji i Dreźnie awanturniczą egzystencję pięknego, szwedzkiego Kondotyera.

Czy małżeństwo Zofii-Doroty zbudziło w nim dawną miłość? Czy podrażniło jego miłość własną? Dość, że pewnego pięknego poranku Hrabia Filip do Koenigsmark przybył do Hanoweru.

Dwór-Elektora był siedliskiem rozpusty, gnojówką, na której wiedła zwolna ta piękna lilja, jaką była Zofia-Dorota.

Zdradzana przez męża, którym zawsze pogardzała, zmuszona obcować z tą straszliwą hrabiną de Platen, nikczemną faworytą Ernesta-Augusta, biedna Zofia-Dorota pędziła życie w dobrowolnem osamotnieniu, zajęta wyłącznie wychowaniem dwójga dzieci, syna, który miał być królem Anglii i córki, która będzie królową pruską.

Ale oto Koenigsmark przybywa do Hanoweru i rozpoczyna się dramat. Hrabia Filip przybył, aby się zemścić, aby odzyskać serce Zofii-Doroty. Ale za nim ją jeszcze zdążył zobaczyć, rozkochuje się w nim hrabina de Platen. Hrabia nie chce narazić sobie potężnej faworyty. Ale trzeba zająć bardzo daleko, aby nie narazić sobie tej kobiety, Messaliny i Lady Mackbeth, w jednej osobie. Hrabia Filip zachodzi jak można najdalej; licząc, że skompromitowana, będzie w jego mocy. Natomiast on jest w jej rękach.

Wówczas zaczyna się piękna idylla Filipa de Koenigsmark i Zofii-Doroty. Ponury pałac *Herrenhausen* jest świadkiem ich krótkotrwałej miłości. Zrazu Zofia-Dorota mniemała, że piękny hrabia przybył jedynie po to do Hanoweru by ujrzeć nieszczęśliwą i opuszczoną tę, która pod przymusem woli rodzicielskiej zaślubiła innego. Stosunek prawie jawny Filipa z hrabiną de Platen większą jeszcze goryczą napawa jej udręczoną duszę. Ale pewnego poranka, poszedłszy ze swą damą do towarzystwa do parku w ustronne miejsce, gdzie zazwyczaj siadywała się szybko Hrabiego Filipa. Na ławce pozostał zwitek papieru z wierszami na sposób Benserade'a:

*Jakim-że niegdyś byłem zmiennikiem!
Co chwila, na kwietnej łące
Patrzałem w oczy innej pasterce,
Znajdując rozkosz w zmienności!
Lecz odkąd cudną Sylwę ujrzałem,
Na zawsze kochać ją muszę,
I przez największą ze wszystkich zmianę
Nic w życiu zmienić już nie chcę.*

Dalszy ciąg nastąpi.

